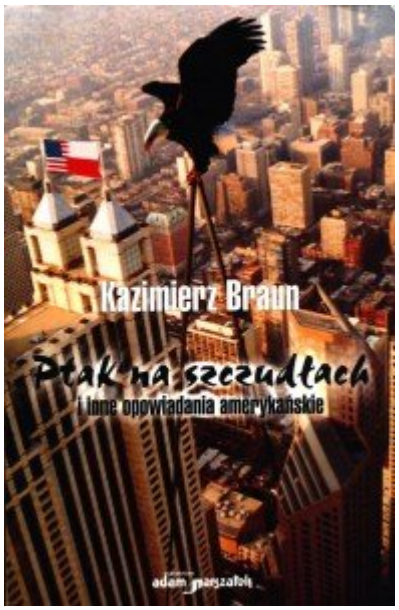
Zazna ochłody

Kazimierz Braun



Strzeliła furtka do sadu. Zadudniły kroki po śnieżce. Biegnący wołał, z trudem łapiąc oddech.

„Proszę księdza dobrodzieja, stary Zając spadł z rusztowania!”

Postać w słomianym kapeluszu, pochylona nad otwartym ulem wyprostowała się w chmurze kłębiących się wokół niej pszczół.

„Cicho mi w pasiece!” Powiedział niegłośno ksiądz do wyrostka, który zatrzymał się w bezpiecznej odległości. „Co się stało?”

„Stary Zając zleciał z rusztowania. Co go ruszą to wrzeszczy. A jak leży to ledwie dycha”.

„Zając, murarz?”

„Majster. On właśnie. Niech dobrodziej biegną”.

„Zaraz przyjdę. Po doktora posłali?”

„Poleciał Bolek od Wnuków, ale mówią, że Zającowi to księdza nie dochtora potrzeba”.

„Pomóż mi daszek założyć”, powiedział ksiądz.” Nie można tak ula zostawić”. Schylił się i postawił na ziemi trzymany dotąd w ręce garnek, z którego dobywał się dym.

„Kiedy mnie pszczoły pożrą…”

„Chodź mi tu zaraz, strachoput się znalazł. Jak cię która użądli to tylko na zdrowie. Zdjął obszerne pszczelarskie rękawice i rzucił chłopcu.

„Włóż rękawice. Mnie żadna nie użądli”.

Chłopak pospiesznie sięgnął w trawę po rękawice, włożył je i podsunął się niepewnie do ula. Razem z księdzem ujął drewniany daszek leżący na ziemi i przeniósł go nad kłębiący się od pszczół ciemny otwór.

„Użarła mnie!” Wrzasnął nagle, ale nie wypuścił daszka.

„Cicho” skarcił go ksiądz. „Powoli daszek osadzaj, żebyś której nie przyciął”.

Zakładali daszek ostrożnie. Ksiądz ruchem pewnym i dokładnym, młody pomocnik dłońmi drżącymi od strachu, szyję wtulając w kark, potrząsając głową nerwowo i starając się chodź w ten sposób odpędzić świdrujące mu słuch pszczoły.

„Znowu!” Zapiszczał.

Gdy tylko daszek spoczął na ulu, chłopak runął w kierunku furtki, rozcierając kark i ucho. Ksiądz ogarnął uważnym spojrzeniem ul. Był dobrze zamknięty. Sutannę, którą miał zatknął za pasek, opuścił na białe portki. Zdjął słomiany kapelusz i otarł pot z czoła rękawem sutanny. Było bardzo gorąco, mimo popołudniowej pory. Słońce stało wysoko na czystym niebie lipcowego Teksasu. Wziął garnek z kurzem i poszedł szybkim krokiem ku plebani.

Był to dom duży, murowany, rozłożysty. Stał na pochyłości pagórka, nieco powyżej pasieki i sadu. Ponad plebanią, na łagodnym wzgórzu wyrastały wzniesione wysoko mury kościoła. Budowla była pokaźna, z szeroką nawą i potężną wieżą, jeszcze bez hełmu. Mury były obstawione gęsto rusztowaniami. Jasność drewna wysokich słupów rusztowań i przecinających je

pomostów z desek tkała gęstą a lekką sieć, w którą całość konstrukcji była otulona, podobna raczej do ogromnego okrętu budowanego w stoczni albo do stosu drewna ułożonego na gigantyczne ognisko, przez który, jak już naniecony ogień, przeświytywała świeża cegła murów.

Większy będzie od aryjskiego, pomyślał ksiądz z dumą. Zobaczy ten biskup irlandzki, że Polacy nie gorsi niż jego Ajrysze. I szkoła przy kościele stanie. Też większa od aryjskiej. na chwałę Boga i ojczyzny imienia. Dzieci po polsku uczyć się będą, jak w kraju.

Kościół, wieńcząc wzgórze, stał ponad ogromnym polem dojrzałej, lekko falującej, złocistej pszenicy, za którym dopiero daleko widać było ciąg domków, dalej hale i kominy fabryki, a jeszcze dalej wieżę irlandzkiej bazyliki. Specjalnie wybrali to wzgórze po drugiej stronie miasteczka, aby się odróżnić, od Ajryszów odsunąć, wyżej od nich kościół postawić i ustanowić własny punkt środkowy, główny, zborny dla krainy, przyciągający oko i myśl, skupiający potrzeby: tu mieli przynosić swoje strachy, wypłakiwać upokorzenia, koić tęsknoty, chwalić Boga za łaski i prosić o opiekę. Tu przychodzić na msze i sumy, różańce i procesje, dzieci posyłać do szkoły, chrzcić się i żenić, bierzmować i grzebać. Ale pogrzebu, odkąd przyjechali całą wsią w te strony, jeszcze nie było.

Ksiądz wszedł szybkim krokiem na ganek plebani. Zaczerpnął

parę razy ciepłej wody z cebrzyka stojącego pod rynną i zalał węgle w garnku z kurzem. Odstawił go na schodki, gdzie leżały porzucone przez chłopca rękawice. Wszedł do środka. Uderzył go stojący zaduch i upał. Musiał przyzwyczaić chwilę oczy do zmroku za zaciągniętymi grubymi zasłonami. Z pokoju, który służył za tymczasową zakrystię, wziął stułę z szuflady i – po krótkim wahaniu – również skórzany sakwojaż, jakby lekarski, w którym miał przygotowane oleje święte, buteleczkę z wodą święconą i kropidło, świecę gromniczną i zapałki, a także komżę i „Sakramentarz". Jeszcze się raz zastanowił, wziął czysty korporał z szafki i przeszedł do drugiej, większej izby, która była tymczasową kaplicą, przyklęknął przed małym ołtarzem, uchylił drzwiczki tabernaculum, ładnie odrobionego w lipowym drewnie, wyciągnął kielich z komunikantami, jeden z nich położył na korporale i zawinął. Schował kielich, przyklęknął, wrócił do zakrystii. Włożył korporał z wiatykiem do walizeczki. Wyszedł na ganek. Uderzyło go słońce. Zmrużył oczy i kłusem skierował się w stronę murów kościoła.

Gromada starszych i młodszych mężczyzn w koszulach z zakasanymi rękawami tworzyła nieregularny krąg. Słysząc kroki księdza, rozstąpili się bez słowa. Na spalonej ziemi, w drobnym pyle szarego piasku i odłamkach cegły leżał na plecach człowiek. Jego piersi unosiły się spazmatycznym, nieregularnym oddechem, bose stopy leżały nieruchomo na piasku, a palce dłoni drapały kurczowo ziemię. Głowę trzymał sztywno, na

wyciągniętej szyi. Oczy miał zamknięte, a zęby zaciśnięte. Jego wargi, na których były ziarenka piasku, poruszały się rytmicznie i dochodził z nich niezrozumiały szept. W jego rzadkich, siwych włosach również był piasek, na policzkach i czole, białe plamy murarskiej zaprawy.

„Bardzo jest kiepski, proszę jegomości", powiedział najbliżej stojący mężczyzna. „Chyba się przetrącił. Jak spadł, tośmy go chcieli pozbierać, ale nie dał się ruszać. Tylkośmy go na plecy przekręcili, żeby się nie zadławił".

„Jak to się stało?" Zapytał półgłosem ksiądz.

„Poślizgnął się na rozlanej zaprawie. Sam musiał kielnią nachlapać. Stary jest, niedowidzi, a rwie się do roboty, w domu by siedział. Zleciał z rusztowania jak worek, sześć pięter". Powiedział ten sam mężczyzna.

Ksiądz dał mu sakwojaż do potrzymania i przyklęknął przy rannym. Ostrożnie dotknął jego czoła. Było spocone, ale chłodne. Pod wpływem dotknięcia leżący otworzył oczy.

„Ksiądz proboszcz…" Powiedział z trudem. „Chcieliśmy dziś pod dach podciągnąć. A tylko przerwa w robocie przeze mnie…"

„Gdzie was boli, Łukaszu?" Zapytał ksiądz.

„W środku”. wymamrotał leżący wydymając wargi i kłapiąc zębami, które zaraz zacisnął z powrotem. „A najwięcej w krzyżu”. Dodał. „Ale jak tak leżę na plecach i się nie ruszam, to idzie znieść”.

Widać było, że stara się utrzymać swoje ciało jakby na ostrej kalenicy, z obu stron której czyhał na niego ból. Raz po raz obsuwał się to na jedną, to na drugą stronę tej krawędzi i wtedy wstrząsał nim dreszcz, mięśnie napinały się, zaciskały się zęby, policzki zaczynały drgać i oddech dobywający się przez nos stawał się pospieszny. Ksiądz ostrożnie ujął jedną z jego nóg obiema rękami za kostkę i uniósł ją nieco.

„To was boli?”

„Nie”, powiedział zduszonym głosem ranny.

Ksiądz ponowił badanie, unosząc drugą nogę: „A to?”

„Nie…”

„Dźwignąć się możecie? Spróbujcie”. Ksiądz podetknął leżącemu rękę pod kark. Tamten zebrał się w sobie, napiął, uniósł głowę i nagle jak ugodzony padł znów na wznak, uderzając głową w piasek, aż pył się podniósł.

„Leżcie, leżcie sobie…” Powiedział ksiądz.

Zrozumiał, że stary murarz jest sparaliżowany od pasa w dół i musi mieć złamany kręgosłup. Znów dotknął jego czoła. Było zimne. Rozpiął leżącemu koszulę i dotknął piersi. Była mokra od potu, ale też zimna. Ksiądz pomyślał, że to zimno ciała może zwiastować rychły koniec.

„Posłaliście po doktora? Tak?” Zapytał stojących.

„Poleciał Bolek”.

„A po synów do fabryki?”

„Właśnie bieżą przez pole”, powiedział ktoś inny. Ksiądz spojrzał w stronę osiedla i zobaczył daleko na miedzy dwie głowy biegnących, ledwo wynurzające się z wysokiej pszenicy. W pewnej odległości za nimi, nieco wolniej, poruszały się inne głowy, zapewne kobiet, które musiały zostać również zaalarmowane. Spojrzał znów na leżącego na ziemi człowieka.

Chcieli go zostawić w kraju i starą też, a wziąć tylko synów. Ale się uparł, że pojedzie, jak cała wieś, to cała, wszyscy, co do jednego, nie biorąc tylko niedołęgów, kalek, przygłupów i starców nad grobem, a on był krzepki jeszcze, umiejętny i bardzo robotny, choć trochę niedowidział. Ksiądz się wreszcie zgodził,

bo Łukasz Zając był murarzem sławnym na całą okolicę i można było liczyć, że się bardzo przyda za morzem. Przy budowie kościoła, mimo kłopotów z oczami, nie folgował i pierwszy rwał z rusztowania na rusztowanie, coraz wyżej. Zawsze na procesjach w rodzinnej wsi kroczył na przedzie niosąc krzyż, to i w Corpus Christi, gdzie schodzili ze statku na ląd też poszedł pierwszy i niósł na przedzie całej struchlałej gromady wielki krzyż parafialny. Śpiewał najgłośniej ze wszystkich, głośniej nawet od organisty, na całe gardło wydzierał „Serdeczna matko", aż niosło po porcie, tym śpiewem zagłuszając okropny strach, gdy po raz pierwszy stopy stawiali na tej ziemi obcej.

Ksiądz pojechał do Ameryki wcześniej, żeby wybrać miejsce osiedlenia, przygotować nadania ziemi, wybrać drogę ku niej, zgromadzić żywność na pierwsze tygodnie. Witał ich w porcie konno, z krucyfiksem w uniesionej wysoko dłoni, a oni szli ku niemu ze statku, po trapie, śpiewając, niosąc pługi, cepy, kosy, piły, kielnie i inny dostatek, wszystko, jak im wziąć do nowej ziemi nakazał. Pierwszy kroczył Zając, tak go zapamiętał: mimo gorąca, w białym, ogromnym, odświętnym kożuchu, z otwartą w śpiewie gębą, z wielkim parafialnym krzyżem, wyciągniętym przed siebie, jak tarcza. I zbliżały się ku sobie te dwa krzyże, jeden niesiony przez Zająca, drugi w dłoni księdza na koniu.

Ksiądz pomyślał wtedy, że oto krzyż w kraju idzie naprzeciw krzyża emigracji. Który cięższy?

A gromada doszła do niego, patrzył na nich z wysoka, ich twarze były wzniesione w górę, oczy pałające, wciąż śpiewali potężnie, pierwszy Zając klęknął i cała parafia za nim, kilkaset luda, gruchnęli na kolana. Skończyli śpiew i zamilkli. Nastała wielka cisza. A on wzniósł krucyfiks jeszcze wyżej i pobłogosławił ich w tej ciszy szeroko, zamaszyście.

„W imię Jezusa Chrystusa i Panny Maryi, Najświętszej Matki Jego, witajcie!" Zakrzyknął.

W gromadzie nagle powstał gwar, odezwały się płacze, ludzie podrywali się z klęczek, garnąc się do niego i tłocząc, aż koń zaczął parskać i stawać dęba pod natłokiem, musiał go mocno cuglami poskramiać. Zatknął krucyfiks za pas i ręce do nich wyciągał, które całowali, i buty jego i sutannę. Był dla nich jedynym swojakiem na obczyźnie.

„Odstąpcie", powiedział ksiądz do gromady stojącej nad rannym. „Muszę go wyspowiadać".

Zdjął słomiany kapelusz i odłożył go na ziemię. Narzucił stułę na szyję. Schylił się niżej ku twarzy rannego. Ludzie bez słowa poszerzyli nieco krąg, ale nadal stali nieopodal wpatrzeni ponuro w leżącego i w księdza, który klęknął teraz na oba kolana, pochylił się ku głowie starego Łukasza i coś mu szeptał do ucha. Dwaj młodzieńcy, synowie, zdyszani dobiegli do kręgu, chcieli się

przedrzeć do leżącego, ale inni ich powstrzymali. zaczęły nadchodzić kobiety. Rozległy się ich płacze i głośne uwagi – „Stary mógł się nie pchać na rusztowanie tak wysoko” – „Nie poradzisz, ale on musiał pokazać jak się muruje” – „Murarz to był dobry, nie odmówić” – „Znał się na rzemiośle” – „Spadł, mówię wam, jak ten worek z wysokości” – „Na chwałę Bożą chciał się przyczynić” – „Nie stanęłaby ta budowla bez niego” – „Ma za swoje wynoszenie się” – „Jakie tam wynoszenie, majster był zawołany” – „I na co mu to teraz, w prochu se leży” – „Nawet w ziemi swojej rodzonej świętej nie spocznie”.

Stopniowo krąg się pogrubiał, pojawiały się dzieci, przybywało kobiet, które dowiadując się o wypadku, biegły pod kościół. Znali się przecież wszyscy w tej wsi, a teraz robotniczej osadzie, ale dla nich to była wciąż polska wieś. Budowali kościół pospólnie, młodzi i starzy, mężczyźni i wyrostki, w ciągu długich letnich miesięcy pracując cały dzień bez ustanku, bo fabryka miała dwie zmiany i kiedy pierwsza zmiana szła do hal, to druga do kościoła, kończyła tylko trochę wcześniej, żeby coś zjeść i pójść do fabryki na drugą zmianę, a już pierwsza zmiana przychodziła prosto z bramy fabryki na budowę kościoła, kobiety i dziewczyny donosiły jedzenie w dwojakach, w koszykach, picie w butelkach. I tak szło od szóstej rano do dziesiątej wieczorem, na dwie zmiany. Kościół rósł jak na drożdżach, strzelał w górę każdego dnia. Teraz najwięcej ludzi pracowało przy murarce i kamieniarce, ale równocześnie już stolarze robili drzwi i futryny, okna i ramy

okienne, ławki i ołtarze. Kowale kuli świeczniki, zamki i skoble. Dekarze szykowali krokwie dachowe i gonty. Kobiety szyły obrusy na ołtarze i chorągwie; tylko trzy przywieźli ze sobą przez morze. Matki Boskiej Częstochowskiej, te poświęconą świętemu Florianowi, patronowi od ognia, bo na nowej ziemi, gdzie miały stanąć ich nowe domy, tego się najbardziej chcieli ustrzec, a trzecia ze świętym Krzysztofem, którego wcześniej nie znali, ale tak im ksiądz nakazał, aby ich święty Krzysztof bezpiecznie przez wodę przeprawił, co się też stało. A tu miały stanąć w kościele chorągwie każdego cechu, każdego bractwa, w każdej ławce zatknięte i na procesje, to miał ich cały las iść i skrzydłami ich osłonić jak proporce wojska niebieskiego albo jak polska starodawna husaria, w tym kraju obcym, tak ich pouczał proboszcz. Feretrony też od razu były w robocie, obrazy do nich już zamówione u słynnego artysty rodaka, w samy, Pittsburgu, a figury u innego w Filadelfii. Obraz Panny Maryi Pocieszenia, patronki parafii, przywieźli z kraju. Trochę mały będzie jak na wymiar wielkiego ołtarza, ale swój za to. Ogromną, gruba ramę już mu rzeźbią, a nie pożałują na jej pozłotę. Płacą na ten kościół, dom w dom, po piątej części tygodniówki każdego robotnika, dużo, to są straszne pieniądze, ale sama tygodniówka jest tak ogromnym bogactwem, jakiego nikt z nich wcześniej nigdy na oczy nie widział, a nawet nie słyszał, żeby kto tyle zarabiał za pracę rąk swoich, więc na chwałę Bożą niech to idzie w dziękczynieniu za to wielkie szczęście, które ich tu spotkało, choć pracują w fabryce bardzo ciężko i mężczyźni i niedorostki,

ale wszyscy, najbiedniejsi nawet, już w swoich domkach mieszkają, gdzieżby tam mieli skąpić na dom Boży.

„Żałujesz?" Zapytał ksiądz Zająca. Żałujesz za wszystko?"

„Zimno mi" Wymamrotał stary.

„Najpierw powiedz, że żałujesz", zgromił go ksiądz głośno.

„Zimno bardzo".

„Żałuj za grzechy choć po cichu, a ja ci udzielę rozgrzeszenia", zrezygnował kapłan.

„Ego te absolvo..." zaczął mówić prędko, widząc jak twarz leżącego w prochu człowieka szarzeje.

„Proszę dobrodzieja! Dochtor pojechał do porodu na wieście! Nie wróci aż na iwning!" Usłyszał drącego się już z daleka Bolka.

„Cicho dźboki, spowiada się teraz", zgromił go któryś z gospodarzy i chłopak stanął nagle bezradnie z tyłu kręgu, a potem zaczął się powoli przeciskać do pierwszego rzędu, dysząc głośno.

Ksiądz wstał. „Niech podejdą synowie się pożegnać", nakazał. „A

wszyscy na kolana”. Tłum gruchnął na kolana, a jednocześnie wydobyli się zeń dwaj młodzi robotnicy w poplamionych smarem kombinezonach, ociekający potem. Jasne czupryny spadały im na oczy. Podchodząc wycierali ręce o spodnie. Przyklękli.

„Ojciec”, powiedział starszy, „ojciec pobłogosławcie”. Umierający nie zareagował. Grzebał zakrzywionymi palcami ziemię. W tłumie rozległ się szloch. Obaj młodzi ludzie schylili się do samej ziemi i jeden po drugim ucałowali prawą dłoń ruchliwą, obsypana piaskiem. Pozostali na klęczkach. Ksiądz położył obu dłonie na głowach. „Ja was błogosławię”, powiedział łagodnie. „A matka tam z nieba na was spogląda”. Znów rozległ się płacz z kręgu ludzi.

„Sakwojaż” Zawołał głośno ksiądz. Mężczyzna trzymający do tej pory walizeczkę podbiegł skwapliwie. Ksiądz otworzył ją i wyjął korporał. Wydobył z niego wiatyk. „Ecce Agnus Dei, ecce qui tollit pecceta mundi…” Przeżegnał komunikantem leżącego i zbliżył go do jego ust. Ale ranny miał zaciśnięte zęby. „Otwórzcie gębę, stary”, powiedział ksiądz głośno, ale to nie poskutkowało. „Corpus Domini nostri Jesu Christi custodiat animam tuam in vitam aetemam”. Kontynuował ksiądz, ale ranny nie zareagował. „Nie ma kto noża?” Zapytał ksiądz.

Obaj synowie wyciągnęli natychmiast z kieszeni portek koziki. Ksiądz położył korporał na piersiach leżącego, a na nim opłatek.

Wziął nóż od jednego z chłopców, otworzył ostrze, ostrożnie wsunął je pomiędzy zęby starego i przez utworzoną szczelinę wsunął opłatek. Wycofał ostrze. Zęby szczęknęły. Oddał nóż. Złożył korporał do sekwojaża i sięgnął po oleje święte. Mrucząc modlitwy, pośpiesznie namaszczał oczy, uszy, nozdrza, ręce, nogi i czoło leżącego, który nagle zakrztusił się, wzdrygnął i zaczął rzucać głową w obie strony, więc ksiądz przytrzymał go za brodę, aby opłatek broń Boże, nie wyleciał mu z ust. Ranny chwilę szamotał się, a potem ruchy jego spowolniały i ciało jakby zelżało, a rysy się z wolna wygładziły. „Mówcie: Ojcze nasz", nakazał ksiądz gromadzie i sam zaczął głośno, a ludzie dołączyli chórem. Rozległy się znów kroki kogoś biegnącego. Gdy „Ojcze nasz" miało się ku końcowi, odezwał się głos:

„Urwałem się z plantu, proszę dobrodzieja, może coś pomóc?" Ksiądz rozpoznał głos organisty. Nie odpowiedział, tylko od razu zaśpiewał: „ Salvum fac servum tuum".

„Deus meus, speratem in te", odpowiedział śpiewem organista.

„Mitte ei, Domine, auxilium de sancto".

„Et de Sion tuere eum".

„Esto ei, Domine, turris fortitudinis", śpiewał ksiądz.

„A facie inimici”, dialogował organista.

Tak doszli do końcowego „Dominus vobiscum” i cała gromada odpowiedziała chórem „Et cum spiritu tuo”.

Ksiądz wrócił do cichej modlitwy. Synowie Zająca klęczeli.

„Śpiewajcie: Serdeczna Matko”, nakazał ksiądz po chwili.

Organista zaintonował. zabrzmiała pieśń potężnie.

Ksiądz już się nie spieszył. Powoli robił znaki i półgłosem mówił modlitwy. Wyciągnął z torby gromnicę. Podał ją jednemu z synów. Drugiemu dał zapałkę, ten zaś potarł ja o podeszwę, zaniecił i osłaniając dłonią płomień zapalił świecę. Nie było wiatru. Knot palił się równo, prawie zresztą niewidoczny w ostrym słońcu. teraz ksiądz wyjął z sakwojaża butelkę z wodą święconą i kropidło. Odkorkował uważnie i polał lekko kropidło wodą. Odłożył butelkę i pokropił umierającego, a potem zamachnął się znacząc znaki krzyża nad tłumem, kropiąc na wszystkie cztery strony świata.

Nie doczekał stary poświęcenia kościoła, myśli ksiądz. Stara zmarła na statku i musieli ja do wody rzucić, a on pierwszy tu umiera ze wszystkich. Dwóch synów zostaje sierotami. Robotnicy, dadzą sobie radę. Trzeba będzie cmentarz wytyczyć.

Kto z nich następny? Pomrą na obcej ziemi jedno po drugim. Wszyscy. Panie Boże, wszyscy, jak tutaj stoją. Mężczyźni i kobiety. Dzieci i niemowlęta. Tu ich przywiodłem – grzebać? Ja sam też już nigdy nie wrócę. Wola boska. Gruntu wokół kościoła nie brakuje, tylko z której strony cmentarz ma być? Od północy oczywiście. Choć i tak nigdzie cienia za grosz i wszędzie słońce jakby w zenicie przez cały dzień. No, to tylko w lecie. Ale długie to lato. Gorące. jakie tam gorące? Upalne. Chryste Panie, upalne? Nie upał to, ale spiekota, od świtu do zachodu słońca. Od marca do listopada. A jak deszcz lać zacznie, to potop od razu. Śniegu nie ma na lekarstwo. Huragany straszliwe uderzają i domy nawet w powietrze porywają i ludzi zabijają. Matko Boża, gdzie ja tych ludzi wywiodłem? Z domu niewoli, odpowiedział sam sobie. Z domu nędzy, dodał. I to nie jak Mojżesz, który ich wywiódł z Egiptu, gdzie mieli pełno mięsiwa w garnkach i jarzyn w bród i owoców, na pustynię, bez wody i jadła, ale ja wywiodłem ich właśnie od garnków pustych i głodu, i dzieci z głodu na przednówku umierających, z ugorów, zagonków, nędzy, walących się chałup i rozpadających się czworaków, do tego kraju mlekiem i miodem płynącego, gdzie ziarna pszeniczne jak wiśnie, a wiśnie jak śliwy, pomidory jak pieści, a jeszcze do tego brzoskwinie, dynie, melony, kawony, winogrona; i mięsiwo, mięso nawet i co tydzień. Pszczoły dobrze tu idą. Wywiodłem ich od pracy za prawie darmo i od daremnego szukania pracy, a przywiodłem ich do roboty w tej fabryce, gdzie porządek i pieniądz grają w parze i co tydzień wypłatę każdy dostaje, jak

bogacz jaki. No, jeśli praca jest. Bo gdy zwalniają na lejof, to bieda natychmiast zagląda w oczy i strach wkrada się w serca. Raz, gdy przyszło straszne tornado i zniosło dachy z połowy domów, a fabryka akurat zaczęła zwalniać, to ludzie gniew swój zwrócili przeciw księdzu i pokarać go za te nieszczęścia chcieli, bo przecież on ich przywabił. Musiał w góry uciekać i kryć się po jarach. Ale gniew przeszedł, fabryka znów robotników przyjęła, domy odbudowano, pokój wrócił do serc. To i kościół prawie pod dach śmiga z tych dolarów, a plebania pół roku już stoi i ksiądz się tez pożywi, na co zasługuje. Żeby tak tylko trochę cienia. Upał aż zatyka. Rozejrzał się. Dookoła murów kościoła widoczne były na pagórku sadzonki małych lipek. Wyciągną się, pomyślał. Pszczoły będą miały pożytek.

Brzmiała pieśń. Ksiądz dołączył się grzmiącym głosem: „Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy…..” Gdy skończyli powiedział:

„Niech go położą na tych drzwiach do kościoła, co to już gotowe do osadzenia, w nawie pod ścianą stoją i niech go do domu zaniosą. Tam go obmyjecie i ubierzecie. A stolarze niech zaraz do zrobienia katafalku ręce przyłożą. Bo go jeszcze nie mamy. Solidny ma być, aby nie na ten raz jeden posłużył. Zaraz się brać do roboty. I pomalować. Czarna farba i srebrna musi się znaleźć u Ajrysza w mieście, niech który skoczy, na kreskę wziąć, a ja zapłacę. I krzyż nagrobny wystrugać. Tabliczkę wypisać równo, żył lat tyle a tyle, synowie wiedzą, zmarł Roku Pańskiego 1855.

Katafalk przed wejściem do kościoła ustawić. To pierwszy pogrzeb w naszej parafii na nowej ziemi i uroczysty będzie. Jak tylko druga zmiana wyjdzie z fabryki, to go przynieść z powrotem. W nocy go pochowamy o chłodzie. Przez jutro by nie przetrzymał. Gromnice wszyscy przynieść. Grób wykopać pod tamta lipką małą, od północy. Kiedyś go ocieni. Zazna ochłody".

„Jakże to ta? W obcej ziemi grzebać?" Odezwał się jakiś kobiecy głos z gromady.

Ksiądz spojrzał surowo i już chciał zgromić kobietę, którą wypatrzył w tłumie. Ale przeniósł wzrok dalej na wielki łan pszenicy, na linie domów i kominy fabryki poza nią, powiódł wzrokiem po wysokich murach kościoła i po strzelistych rusztowaniach, popatrzył na niebo ogromne, wciąż bezchmurne, na daleki, otwarty horyzont, a potem znowu bliżej na wydeptany i wyjeżdżony pył wokół budowy. Wzrok mu złagodniał.

„Teraz to już nasza ziemia", powiedział spokojnie, po gospodarsku. „Nasza. Tu leżeć będzie wśród swoich".

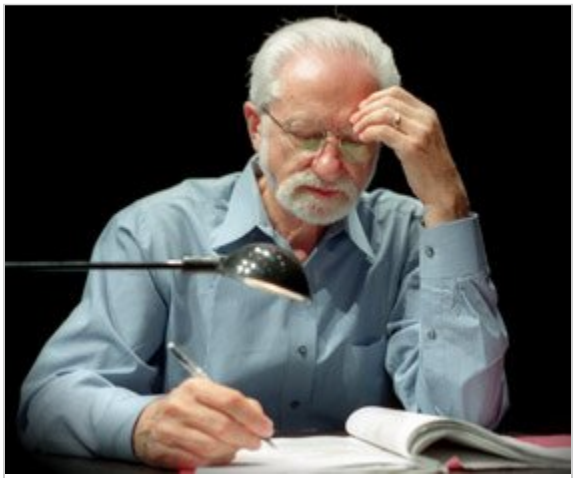
Kazimierz Braun: Ptak na szczudłach i inne opowiadania amerykańskie, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2003.



Jan Stanisławski, Wieś- Dziewanna, olej na desce 31,5 x 41 cm, własność prywatna.

Opowiadanie ukazało się w „Liscie oceanicznym”, dodatku kulturalnym do „Gazety” z Torotno w 2003 r.

Dogmat wierności



Kazimierz Braun

Kilka myśli o prozie Kazimierza Brauna

Emil Biela

Można pobożnie żartować, że Mojżesz, odbierając od Boga dekalog na górze Synaj, nie dopilnował, aby umieszczone tam było również przykazanie wierności. Gdyby ludzie w swoim życiu byli mu podporządkowani i przestrzegali go, byłoby na tym ułomnym świecie nieco inaczej. Mniej byłoby tragedii, fałszu, wypierania się przekonań, pogoni za złudną karierą. Być wiernym sobie. Jakież to trudne. Najwyższą pochwałą jest

stwierdzenie: „on jest zawsze ten sam – mimo upływu czasu!” To chyba wartościowy, niewidzialny order, który może zdobyć człowiek przez lata swojego życia.

Być wiernym…- to omal bohaterstwo. Niekiedy wymaga to osamotnionej odwagi, czasem nawet wyjazdu z ojczystego kraju. Cyprian Kamil Norwid w „Epimemdesie” z gorzką, filozoficzną ironią pisze:

Syn wierny niewierny historii zamętu,

Syn wierny społeczeństwa, co nie było warte

Wierności! – ta już bowiem stawała się zdradą…

Ileż bolesnej prawdy jest w tej charakterystyce człowieka, który chciał być wiernym synem Ojczyzny. Polacy, jak nikt inny na świecie, potrafią być wierni niepisanemu przykazaniu wierności. Stefan Żeromski w „Dumie o hetmanie” podnosi tę zaletę, pisząc: „Bywa tu w Polsce, zamurowana dozgonna wierność dla przegranej sprawy, nieznana nigdzie na świata obszarze, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim czynie widać…” Wierność tworzona jest każdego dnia. Niewielu jest pisarzy, którzy przez całe swe życie artystyczne byli pod tym względem nieskazitelni. Nawet naszym noblistom wytyka się – i słusznie – pogwałcenie kiedyś przykazania wierności, kiedy

wypowiadali z przekonaniem to, o czym dzisiaj by milczeli lub twierdzili coś wręcz odwrotnego. Z trudem – nawet miłosierni – usprawiedliwiają takie postępowanie.

A można być wiernym nieskazitelnie. Do grona takich ludzi należy bez wątpienia Kazimierz Braun, którego bogata twórczość teatralna, prozatorska i dramaturgiczna znana jest zarówno w Polsce, jak i w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszka on i pracuje od prawie dwudziestu lat. W swoich powieściach i tomach opowiadań Kazimierz Braun tworzy niejako dogmat wierności, udowadniając, na przykładzie skomplikowanych losów swych bohaterów, tezę, że kto przeciwstawia się temu dogmatowi, łamie go, nie uznaje zasady wierności – ma zafałszowane i w finale tragiczne życie.

Najdobitniej jest to udokumentowane w powieści dokumentalnej pt. „Pomnik", wydanej w roku 1989 przez paryski Instytut Literacki w Bibliotece „Kultury". W książce tej Kazimierz Braun udowodnił, że jest odważnym pisarzem politycznym. Na kartach „Pomnika" ukazał anatomię polskiego komunizmu z czasów panowania Edwarda Gierka. Braunowska sekcja zwłok ukazuje wnętrzności totalitaryzmu nad Wisłą. Zenon Bugdał, doradca Gierka, wiceprezes telekomitetu, partyjny rzeźbiarz, tworzący swą karierę na pomyśle budowy pomnika Powstania Warszawskiego, który miał stanąć na środku Placu Defilad i wysokością przewyższyć Pałac Kultury, ponosi totalną klęskę.

Opierając się na kłamstwach prosi o azyl polityczny w Ameryce i … otrzymuje go. Na ruinach egoizmu, mogła stanąć tylko ruina człowieka, który nie znał zasady wierności. W odautorskich zdaniach „Pomnika" czytamy, że Zenon Bugdał nie rozumiał swego własnego życia. Nie umiał dokonać wyboru, a miał do tego wielokrotnie okazję. Jest w „Pomniku" symboliczna scena, przypominająca w pewnym stopniu „Wesele" Wyspiańskiego. Na wystawie w Moskwie miała znaleźć się jego rzeźba, lecz w ostatniej chwili ją usunięto. Pobity przez strażników wystawy, strącony w niełaskę, Zenon Bugdał wrócił do Warszawy i teraz, już jako outsider, patrzy na tłum rządców PRL-u na noworocznym balu w Komitecie Centralnym KPZR: „Ogłuszająco grała orkiestra na podwyższeniu w rogu sali. Patrzył szeroko otwartymi oczami na wirujący tłum. Rozwiane długie suknie. Połyskiwanie klap smokingów. Uśmiechnięte i pijane twarze. Pulsowanie kolorowych świateł. Falowanie serpentyn i bibułkowych dekoracji. Uderzyło go, że wiele par było w maskach. Małych i czarnych – balowych, albo karnawałowych – zwierzęcych, z ogromnymi ryjami, rogami, czy uszami, które kłapały w tańcu; były też maski potworów – ogromne nosy, zęby wampirów, przyprawione do okularów nastroszone brwi. Słychać było tupot i szuranie po podłodze. Pary szamotały się i kolebały w pijanym bezładzie, inne wirowały płynnie i gładko. To tańczył jego poprzedni świat. Jego poprzednie życie". Zenon Bugdał był przykładem „antywierności" – a raczej partyjnego karierowicza. Miał tak skażoną osobowość, że „brnąc coraz dalej i głębiej w

świństwo, równocześnie oczyszczał się w swojej własnej świadomości i uszlachetniał. Robić partyjną karierę na antypartyjnych nastrojach społecznych, była to doprawdy gra arcymistrza. Jakby jednym ruchem szachował zarazem króla i królową".

Na rozstajach historii musimy być wierni – ojcu, matce, dziadom, tradycji. Ten dogmat gwarantuje godność osobistą, honor, realizację uczciwego człowieczeństwa. Zasada wierności to wewnętrzne światło. Kto go nie posiada jest po prostu ubogi, z czasem staje się tragicznym nędzarzem. Kazimierz Braun we wszystkich swoich książkach, a w „Pomniku" w szczególności, z całą pisarską mocą lansuje przykazanie wierności, sam osobiście będąc przykładem realizacji tej zasady. Sprzeniewiercy wierności to ludzie, przed którymi pisarz ostrzega. Ma do tego prawo, bo jego właśnie, z powodu wierności, boleśnie i bezboleśnie dotknęła historia. Zmusiła do emigracji. Podzielił los twórców z panteonu kultury narodowej. Ale tak jak kiedyś wielcy romantycy, nie wywiesił białej flagi, nie poddał się – nadal publikował, reżyserował, wykładał. Dzisiaj z zadumą może przeglądać swoje „teczki", które otrzymał z Instytutu Pamięci Narodowej. Został bowiem oficjalnie uznany za „pokrzywdzonego". Z teczek tych wynika m.in. jak bardzo był dla swoich nadzorców „obcy ideologicznie". Braun nigdy nie był członkiem partii, nie musiał „bohatersko" oddawać partyjnej legitymacji. Stróżów porządku komunistycznego kłuł w oczy jego

katolicyzm. Wielokrotnie donosiciele piszą o nim, że „demonstracyjnie chodzi do kościoła”, że ma koneksje z Episkopatem, znajomości na KUL-u. Cały czas był śledzony, w domu miał podsłuch itd. Gdy dzisiaj retrospektywnie pochylamy się nad dorobkiem pisarskim autora „Pomnika”, to widzimy z całą dokładnością, że zawsze był on wierny sobie i Polsce, swoim artystycznym ideałom służenia ze wszystkich sił kulturze narodowej.

Przed kilkoma laty, recenzując książkę Kazimierza Brauna „Pożegnanie z Alaską” (Instytut Wydawniczy PACX, 1996) opatrzyłem ją tytułem „Gdzież ta Polska?” i pisałem, że prawidłowością polskiej literatury jest to, że wybitne jej dzieła powstawały często na emigracji. Twórca „Pożegnania z Alaską” zdaje sobie sprawę ze swojej „dogodnej” pozycji. Wykorzystuje ją świadomie, tworząc mozaikową opowieść, sagę o emigracji polskiej w Ameryce, a zarazem solidny reportaż, potwierdzony autentycznymi wydarzeniami i nazwiskami. Czytelnik ma satysfakcję, że zwraca się do niego ktoś kompetentny i dobrze zorientowany. Z tej książki Brauna można się wiele nauczyć. sporo przeżyć, studiować współczesność, łapać czas na gorącym uczynku. To są wszystko ogromne walory tej polskiej prozy, pisanej w Polsce. Będąc znakomitym stylistą, operującym sprawnym i posłusznym piórem, Braun kreśli losy Polaków dzielących swój los między krajem nad Wisłą, a Ameryką. Bo to najdziwniejsza z Polskich prawd, że Ameryka jest po prostu w

nas, a i my jesteśmy w niej. Ponoć w rzeczywistości połowa Polaków mieszka poza nadwiślańskimi polami, nad rzekami amerykańskimi i kanadyjskimi. Braun, znawca Polski i USA, tych nietypowych „bliźniaków", w swoich książkach mówi o tym, że jest to trudne pobratymstwo, do końca nigdy nie spełnione. Odpowiedzialnie burzy mit o polsko-amerykańskiej miłości. Nie chce by Polacy nieustannie adorowali ołtarz Ameryki. A zarazem kocha Amerykę. Szuka więc prawdy. Wskazuje, że dogmat wierności obowiązuje bezwzględnie. I tu, i tam. Sprzeniewierzenie mu się jest niebezpieczne, burzy spokój sumienia. W dziele Kazimierza Brauna widać Polskę, tę tutaj za ścianami naszych krajowych twierdz-mieszkań i tę poza jej granicami, o której wszyscy marzą, do której jadą w myślach i w rzeczywistości.

Barskiego, bohatera „Pożegnania z Alaską" poznajemy jako człowieka w ciągłej pogoni i ucieczce, wycofującego się, łatwo poddającego się. Dlaczego? Bo uformowały go całe dekady komunizmu w PRL, potem spalił się w czasie legendarnych, zbyt krótkich miesięcy zwycięskiej „Solidarności". Stan wojenny brutalnie przełamał jego życie, spopieliła je do reszty emigracja. Co pozostało? Klasztor. Tam bowiem zaprowadza swego bohatera Kazimierz Braun w finale swej książki, która jest niejako rachunkiem sumienia, poprzedzającym spowiedź z całego życia. Głos Brauna to jeden z wielu przypominających o przykazaniu wierności. Są ich dziesiątki. Ale odosobnione. Nie

udawajmy, ze ich nie słyszymy. One głośno pytają, gdzież ta Polska? One głośno wyrażają troskę o prawdę: aby awers przystawał do rewersu.

Czytając powieść Kazimierza Brauna „Dzień świadectwa" (Oficyna Wydawnicza 4K, 1999) zastanawiałem się, co należy bardziej cenić u pisarza: czy to, co przeżył, czy to, co przemyślał. Cenię bowiem jedno i drugie. „Dzień świadectwa" to powieść o gorzkim smaku, mimo zwycięskiej pointy. Ale wiem doskonale, że taki smak ma wybitna literatura. A bolesna to lektura, chociaż usytuowana w świetle pontyfikatu Jana Pawła II. Narracja książki ma ukryty świadomie przez pisarza nerw antycznej tragedii, rozgrywającej się w pamiętnych latach 1978-1998. W polskich latach, którym świat przyglądał się z zazdrością. Bohaterem „Dnia świadectwa" jest ksiądz Andrzej i jego droga zarówno do kapłaństwa, jak i poprzez kapłaństwo. Kazimierz Braun kreując postać współczesnego duchownego, wystawił się bez obronnej tarczy na niebezpieczeństwa. Na ile potrafił okazać się „sprawiedliwym", jaki procent prawdy zdołał ukazać, jakie obszary kapłańskiej osobowości okazały się tabu? Portret księdza Andrzeja, kapłana nieprzeciętnego, swego czasu studenta Karola Wojtyłły, ma jedną bardzo przekonywująco i silnie wyeksponowaną cechę: wiarę. Wiele scen powieści rozgrywa się w pustym kościele, w którym ksiądz Andrzej odprawia Mszę świętą. Mimo osamotnienia i ogołocenia ksiądz Andrzej wierzy niezłomnie. Te sceny porażają autentyzmem, są na granicy

proroczych uogólnień, ich wizja wprost przeraża człowieka wierzącego. Mocy nabiera przywoływana wielokrotnie trójca słów papieskich: „Nie lękajcie się!” Bije z nich zapowiedź niezłomności ludzi i czasów pod zwycięskim znakiem Krzyża.

Wzorem dla prozaików obierających za bohatera kapłana pozostaje wciąż opowiadanie Kazimierza Przerwy-Tetmajera „Ksiądz Piotr” z roku 1895. Powieść Kazimierza Brauna zdaje się stawać na wysokości trudnego zadania. Autorowi nie brak talentu i rozległej wiedzy, zarówno psychologa, jak i prozaika współczesności. Patrzenie na sprawy polskie z amerykańskiego kontynentu (powieść została napisana w Ameryce) pozwala na wizjonerską swobodę i lekkość w budowaniu materiału powieściowego, w którym obok narracji linearnej pojawiają się trzy opowiadania: „Brzemię ziarna”, „Brzemię Babilonu” i „Brzemię prochu”. Konkluzja jest oczywista: życie kapłana to brzemię. Bardzo ciężkie. Duchowny wygląda bardzo pięknie i szczęśliwie za ołtarzem, u jego stopni. Ale to tylko godzina. A pozostałe dwadzieścia trzy godziny każdej doby? Czym wypełnione? Samotnością! Jakże czasem trudną, bolesną, tragiczną.

Kazimierz Braun, pisarz wytrawny i doświadczony, po mistrzowsku kreśli meandry życia księdza Andrzeja. Ale tajemnica powołania i tajemnica życia podczas realizacji Bożego wyboru – to chyba dwie największe tajemnice każdego kapłana.

Może nigdy nie da się ich w pełni odsłonić, może nie trzeba. Twórca „Dnia świadectwa” pisze bez uduchowionego kamuflażu: „Trudno, jakby coraz trudniej jest być księdzem we współczesnej cywilizacji z jej laickością, relatywizmem, roztargnieniem i pokusami. (...) Sprzeciwianie się kulturze powoduje izolację. Izolacja sprowadza samotność. Błogosławiona i wzbogacająca pustelnika, staje się przeszkodą w pełnieniu służby przez kapłana diecezjalnego, który ma pracować z ludźmi. Jak to pogodzić?” Czytelnik powieści Kazimierza Brauna wyciąga rękę w stronę księdza Andrzeja, i w ogóle w kierunku wszystkich księży.

Obszerny tom prozy (ponad czterysta stronic) zatytułowany „Ptak na szczudłach i inne opowiadania amerykańskie”, (Wydawnictwo Adam Marszałek, 2003) stanowi kolejną, ważną i cenną pozycję w dorobku pisarskim Kazimierza Brauna. Jego „opowiadania amerykańskie”, to zbeletryzowane noty do wielkiej emigracyjnej epopei lat osiemdziesiątych XX stulecia, sięgające jednak aż do korzeni polskiej emigracji, z poł. XIX wieku. Emigracja jest naszą narodową „specjalnością”. Historia każe udać się na nią zarówno prostemu górnikowi z Podhala, jak i wybitnemu twórcy kultury. W pewnym momencie ich życia lub twórczości każdy z tych ludzi nie mógł, jak mówi Hamlet: „ścierpieć niesprawiedliwości ciemiężycieli, łamania prawa, bezczelności władz i upokorzeń, jakich miernota nie szczędzi zasłudze”. Wielu też wygnała z Polski zwyczajna bieda. Ameryka nie odtrącała Polaków, pozwalała narodzić się na nowo, dawała

szansę. Często może gorzka, ale realną.

Kazimierz Braun dokonuje perfekcyjnej analizy układów polsko-amerykańskich. Z chirurgiczną precyzją charakteryzuje emigrantów, zwłaszcza tych, których zrodził czas poprzedzający stan wojenny i wydarzenia po 13 grudnia 1981 roku. To jest mocny, sugestywny i równocześnie bardzo obiektywny fundament tej prozy, pisanej z mistrzowskim wyczuciem języka. Doskonała znajomość osobiście przez pisarza „przerabianych" realiów amerykańskich sprawia, że „Ptak na szczudłach" ma walor dokumentu. Jest Kazimierz Braun wiarygodnym dokumentalistą o zacięciu polityka. Przypomina w tym sławnego kuriera warszawskiego Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Wszyscy wybierający się za Wielka Wodę, oraz ci, którzy już tam mieszkają, winni obowiązkowo zapoznać się z tą książką. Przyjaźń amerykańsko-polska, od początku XXI wieku na nowo umacniana, na tej lekturze wiele zyska. Parterowa Ameryka przekłuta drapaczami chmur może być gniazdem dla polskich ptaków stojących, jak aktorzy z tytułowego opowiadania, na szczudłach – na szczudłach emigracji. Opowiadanie „Pożoga" wiele mówi o tym, jak zostać Amerykaninem, jest prawie samouczkiem w tej kwestii. Autor jednak sceptycznie odnosi się do chwili, kiedy Polak po latach amerykańskiego „terminowania" uzyskuje upragnione obywatelstwo i może zamiast śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła"….intonować ze wzruszeniem nie pozbawionym nostalgii „Good Bless America".

W pisarskim lustrze Kazimierza Brauna widać zarówno Stany Zjednoczone jak i Rzeczpospolitą. Autor nie szczędzi słów krytyki pod adresem tej drugiej. Niektóre stronice to ostra satyra na współczesną Polskę. Wydaje się, jakby były pisane kawałkiem rozbitej, polskiej szyby. Autor boleśnie zapytuje: skąd się wzięli emigranci, co tu robią, jakie sensy i jakie bezsensy kierują ich krokami po nocnym Manhattanie? Co ci ludzie niosą w sobie? Co gubią w tłumie? Na ile są ludźmi, na ile drobinami w ogromnej kotłującej się masie? Jakie są cele ich dróg? Ku czemu zmierzają? Od czego uciekają? „Czasem mogło się wydawać, że w tłumie ludzi przechadzają się też zwierzęta, upiory, jakieś potwory z Boscha, Van Eycka, Schongauera, Goyi, Malczewskiego, Lebensteina, albo Spielberga." W opowiadaniu „Interview" zawarty jest swoisty rachunek sumienia. Powinni go czynić codziennie wszyscy Polacy, aby pojąć „co to jest polska miazga, polski zakalec, polski kołtun i polski paradoks, nie mówiąc już o polskim piekle".

Papież Jan Paweł II uważa, że kto dostrzega w sobie Bożą iskrę powołania artystycznego, musi być jej wiernym. Powołanie pisarza, poety, malarza, rzeźbiarza, aktora, reżysera, muzyka zobowiązuje przed Bogiem i społeczeństwem, w którym artysta żyje. W „Liście do artystów" (Watykan, kwiecień 1999 r.) Ojciec Święty pisze: „Nie można zmarnować talentu, ale trzeba go rozwijać, ażeby służyć bliźniemu. Społeczeństwo potrzebuje artystów. Artyści mają swoje miejsce, gdy idąc za głosem

natchnienia tworzą dzieła naprawdę wartościowe i piękne, nie tylko wzbogacając dziedzictwo kulturowe każdego narodu i całej ludzkości, ale pełniąc także cenną posługę społeczną na rzecz dobra wspólnego". I dalej Jan Paweł II pisze, że poszukiwanie prawdy i piękna, a także staranie o ich dalszy rozwój są rzeczywiście szczególną służbą świadczoną ludzkości. Odrębne powołanie każdego artysty określa pole jego służby, a zarazem wskazuje zadania, które go czekają, ciężką pracę, do jakiej musi być przygotowany, i wreszcie odpowiedzialność, którą powinien podjąć, nie kierując się dążeniem do próżnej chwały, żądzą taniej popularności, ani tym bardziej osobistymi korzyściami. Istnieje bowiem pewna etyka czy wręcz duchowość służby artystycznej, która ma swój udział w odrodzeniu każdego narodu. Polska ma szansę takiego ponownego narodzenia się. Kazimierz Braun chce być pomocny w tym procesie.

Narrator „Pożegnania z Alaską" to z pewnością w wielu wypadkach alter ego autora. Czytamy: „Zawsze traktowałem pisanie jako samolubne buszowanie po niezmierzonych przestrzeniach kosmosu wolności duchowej, jak też i jako niewdzięczną służbę publiczną. Pisanie było dla mnie codziennie praktykowaną wiernością – tradycji, językowi, zasadom, ideałom i wartościom. Umożliwiało mi badanie własnego sumienia, rozważanie marności świata, dziękczynienie i przygotowanie się do nieuchronnego, a zarazem nakładało na mnie ciężar analizy życia społeczeństwa, losu narodu, przemian historii". Kazimierz

Braun wyznawca credo, któremu na imię wierność, zajął godne miejsce w gronie najwybitniejszych polskich pisarzy-społeczników, mieniących się słusznie żywym sumieniem narodu.

Czy jest szansa na beletrystykę zaangażowaną bez reszty w sprawy polskie? Myślę, że jest. Czekamy na powieści, jak w czasach Prusa i Żeromskiego, które by próbowały rozstrzygać dylematy moralne, dawać prawdy obiektywne, książki, o których mogliby z przekonaniem pisać maturzyści. Wypatrujemy w księgarskich witrynach książki, która byłaby sumieniem narodu rozpisanym na stronice. Mało jest obecnie pisarzy tak odważnych jak Kazimierz Braun. Proza Brauna dodaje odwagi.

Recenzja ukazała się w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" z Toronto w 2003 r.